

Cuda świata można znaleźć we własnym ogrodzie” (Phil Bosmans). Rozważ tę myśl w odniesieniu do twojej małej ojczyzny.

Mój ogród. Pełen krzewów i drzew. Witający ludzi czereśnią od frontu, pilnowany przez strażnika w postaci wielkiego modrzewia, skrywający w swoim sercu młode, niedojrzałe jeszcze jabłunki, otoczone czarną porzeczką, aronią i borówką. Teraz, jesienną porą, musi wspaniale wyglądać. Szkoda tylko, że przyćmiewa go coś potężnego, niebezpiecznego, budzącego lęk i grozę, a zarazem respekt, szacunek, pożądanie...

Zresztą w mojej wiosce ciężko go nie spotkać.

Jest tak sławny, że Budka Suflera ochrzciła nim swoją debiutancką płytę – cień wielkiej góry.

Jugów praktycznie z każdej strony jest otoczony górami. Czasami człowiek czuje się tam jak słowik w złotej klatce. Niezwykle majestatycznej i zniewalającej, ale jednak klatce. Ja właśnie stamtąd uciekłem. Uciekłem do Jeleniej Góry. Do swojej dziewczyny.

To niezwykle miasto jest niczym karkonoska Atlantyda. Spoglądając na nią z gór ma się wrażenie, że Jeruzalem spadło z nieba właśnie gdzieś w okolicy Szklarskiej Poręby, Karpacza i Kowar. To aż nieprzyzwoite, że człowiek mógł wybudować tak wielkie miasto w tak nieprzychylnym mu środowisku. I to jakie. Wypełnione po brzegi nowo odremontowanymi kamienicami i także tymi lekko zniszczonymi, nadgryzionymi zębem czasu. Tak jakby oba typy zabudowań prowadziły swoistą walkę o dominację. Zresztą cała Jelenia wypełniona jest po brzegi różnorodnymi typami budynków. Od malutkich osiedli domków jednorodzinnych po wysokie wieżowce zdobiące tereny Zabobrza. Cały ten galimatias jest ozdobiony przez urokliwy rynek, ratusz i kościoły. Klejnot ten, jak pierścionek, jest otoczony właśnie poprzez mnogość wszelkich form budynków. Wszystko to widać jak na dłoni z wysokości Góry Szybowcowej. Całe miasto otoczone zewsząd potężnymi górami...

No tak nie do końca mój plan zadziałał. Po prostu zamieniłem klatkę na celę więzienną. Ale, co ciekawe, na taką, z której nie pragnie się uciekać. Nie wiem tylko czy mam syndrom sztokholmski, czy aż takie wrażenie robią na mnie miejscowości wypełniające dno kotlin, tak jak wyborna whisky szklanę.

Niestety wszystko ma swój początek i koniec. I to jest właśnie to drugie z nich. Po świetnym weekendzie czas wracać do domu.

Moje rozważania przerywa mi konduktor, który wrzeszczy do krótkofalówki: „67-20 odjazd”. I na kolejny tydzień żegnam się ze swoją śliczną dziewczyną i równie piękną Jelenią. Nie minęła chwila, a już Zosia, bo tak na imię miała lokomotywa ciągnąca te wszystkie tony metalu za sobą, zaczęła biec w swoją drogę. Ciągnęła mnie z powrotem do domu, jak matka wydzierająca swego jedynego syna z objęć kochanki. Nie minęło kilka kilometrów mojego exodusu, a już otoczył mnie górski, jesienny krajobraz.

Rude drzewa niczym irlandzkie dziewczyny otulają mnie jak wielkim, przedziwnym kocem utkany z pomarańczowo – żółtych liści. Stąd pewnie nazwa – Rudawy Janowickie.

To by wiele wyjaśniało.

Wracając do tych pożółkłych, połączanych, ryżych oraz zakrwawionych wzniesień, gór i pagórków, to są one po prostu przepiękne. Człowiek ma wrażenie, że to właśnie dla tych kilku jesiennych, kolorowych i jeszcze ciepłych dni warto żyć i warto czekać cały rok. Sprawia to wrażenie ostatniego tchnienia natury przed kilkumiesięczną, zimową śmiercią. Właśnie wtedy jest dumna jak paw ze swojego dzieła, piękna jak niesamowita kobieta, zarażona śmiertelną chorobą, i zachowuje się jak James Hunt – żyje z dnia na dzień, nieświadoma swojego końca. Jest jej coraz mniej, coraz bardziej się zatracza i dlatego ludzie tak łapczywie chcą napawać się tym równie cudnym, co barbarzyńskim widokiem. Oglądamy metafizyczny spektakl poświęcony odejściu radości.

Już od tej chwili wszystko będzie smutniejsze, zapanuje szarość, a noc i ciemność wygrają nierówną walkę ze słońcem i dniem. Ale póki co i ja ulegam teraz potędze i różnorodności przyrody. Ten wyjątkowy górski krajobraz najlepiej smakuje podany w towarzystwie oszałamiającego wiatru i głośnego, niczym nieskrępowanego koktajlu dźwięków maszynierii, złożonego z wycia potężnego silnika, miarowych, hipnotyzujących uderzeń kół o szyny i przeraźliwego klaksonu, ostrzegającego przed tą wielką mechaniczną dżdżownicą, która draży swoją ścieżkę stalowym szlakiem poprzez kotliny, przecinając tym samym wstęgami metalowych pasków ten spektakularny pejzaż.

Czasem ma się wrażenie, że poruszamy się za szybko, jednak to właśnie ulotność tej chwili świadczy o jej chwilowej tożsamości pełnej urody. Do czasu...

Dlaczego ten, zapierający dech w piersiach krajobraz nagle staje się odartą z romantyzmu zbieraniną przypadkowo postawionych, zniszczonych i zaniedbanych budynków?

Zapomniałem o Boguszowie-Gorcach i Wałbrzychu. Przecież one też są na mojej drodze. Takie zestawienie jest co najmniej nieprzyzwoite, ale czy nawet w tych żywych ruinach, nie ma niczego pięknego? Przecież i w nich musi się znaleźć coś niezwykłego – jakiś diament, nieoszlifowany, ale chociaż taki. No i jest.

Stara kopalnia z wystającym obok niej szybem. Wygląda na to, że ktoś podzielił mój punkt widzenia i remontuje ten relikwyt by także inni mogli docenić jego wyjątkowość. Wreszcie ta zmęczona, podupadła niczym Rocky Balboa, kopalnia znów podnosi się z desek i pokazuje, na co ją stać.

Nie skończyłem nawet dobrze o niej myśleć, a już muszę się przesiadać. Żegnam się z „Zosią” i wskakuję do następnej, tym razem bezimiennej i nowszej maszyny, a moja stara koleżanka rusza dalej na północ. Kolejny etap mojej podróży przemierzam w promieniach zachodzącego już słońca.

Słońca, z którym i tak muszę się miejscami żegnać, gdyż droga do domu usiana jest tunelami. Nie ma nic lepszego dla pasażera pociągu niż te właśnie korytarze poprowadzone przez środek gór, których nie udało się pokonać w równej walce. Na każdym robią wrażenie, szczególnie na najmłodszych, bo wszyscy wstają i gapią się przez okna, szukając w tej wszechobecnej ciemności początku i końca. Uczucie, jakie wywołuje nagły wyjazd z ciemności, nie można z niczym porównać. Jest tak intensywne jak narodziny albo wschód słońca, tylko, że o wiele bardziej dynamiczny.

Gdy dobijamy do Głuszycy, mogę teraz z wielkiego, wysokiego, niczym wieżowiec, mostu podziwiać ulicę, widoki i małych ludzi skąpanych w promieniach zachodzącego słońca. Jeszcze tylko jeden potwornie długi tunel i już jestem na miejscu. No prawie...

Z Ludwikowic jest jednak długa droga do domu, więc proszę swojego tatę o podwózkę.

Ostatni fragment mojego powrotu do domu spędzam w czeluściach kubełkowego fotela Focusa ST mojego taty. Trochę mi żal, że teraz wylądowałem w objęciach weluru, a nie, jak dotąd było, otoczony tym niesamowitym widokiem zardzewiałych lasów sudeckiego pogórza. Pocieszam się tylko tym, że jeszcze dalej, prawie, że przed domem, jest miejsce, gdzie jest pełno drzew, które, rozbierając się na zimę, porozrzucały wszędzie strzępy swoich koron. Wiem, że mój ojciec nie kupił takiej maszyny, by się wlec, dlatego poza zabudowaniami uwolnił moc tego małego, czarnego potwora i nagle naszym oczom ukazuje się asfaltowa ścieżka zewsząd otoczona nagimi drzewami, które utkały na niej przepiękny dywan ze swoich liści. Podmuch wiatru i przejazd samochodu wprawiają tych małych tancerzy w niesamowity, przedziwny i jedyny w swoim rodzaju taniec, pełen szaleństwa. Ten kolorowy korowód ciągnie się za nami do samego domu.

Myślę, że dziesięć złotych to niewielka cena, by odstawić daleko na bok wszystkie swoje troski i problemy oraz by ponapawać się dobre dwie godziny cudownym widokiem, jaki pokazuje nam nasza okolica.

Oblany potem i adrenalina, po przejeździe z tatą, zamieniam klamkę samochodowych drzwi na tę, która otworzy mi wrota do mojego domu...

Ale zaraz. Nawet nie spojrzałem na ogród. Na dojrzewające aronie, śliwę, modrzewia, który prawie wyłysiał, i na czereśnie, która przez całe lato dawała tyle słodkości swoimi owocami.

Mój ogród.

Tak.

Jest piękny.